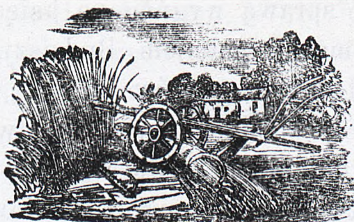
Tom IV. 21. Listopada 1871. Nr. 15.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bolesław Chrobry.

Wyprawy na Ruś. Zdobycie Kijowa.

Wydał córkę Bolesław za syna Włodzimierza Świętopełka i zdawało się, że utrwali przymierze Polski z Rusią.

Z córką króla polskiego przybył na Ruś biskup Reinbern i szerzył obrządek rzymsko-katolicki. Włodzimierz obawiał się rozkrzewienia się obcego wyznania, chwycił syna i synowę wraz z polskim biskupem i wtrącił ich do więzienia. Nie omieszkał Bolesław upomnieć się o córkę, i tak przyszło do pierwszej wojny pomiędzy nim a Rusinami.

W r. 1013 wpadł Bolesław na Ruś, spustoszył wiele kraju, a gdy będący z nim w przymierzu Pieczyngi zwadę z Polakami wszczęli w obozie, kazał ich w pień wyciąć. Tak nagłe pojawienie się Bolesława w granicach państwa ruskiego, skłoniło Włodzimierza do szukania zgody; Świętopełk z żoną zostali uwolnieni i osiedli w stołecznym Kijowie, a z Polską trwał pokój aż do zgonu Włodzimierza r. 1015, po którym objął rządy Świętopełk jako najstarszy z synów jego, chociaż nieprawego urodzenia. Ale już w roku następnym pobity przez brata swego Jarosława i wyzuty z księstwa, zbiegł do Polski i szukał u Bolesława przytułku i pomocy.

Nie odmówił Bolesław pomocy Świętopełkowi, owszem tem skrzętniej zajął się sprawą wygnanego księcia. Zakończywszy tedy sprawę z Niemcami pokojem Budziszyńskim r. 1018, zebrał Bolesław z własnych grodów zbrojne zastępy i wyruszył z Świętopełkiem w pochód na Ruś. Stanąwszy dnia 22. lipca nad Bugiem, spotkał się tu z Jarosławem, zastępującym mu drogę z tłumami Rusinów, Waregów i Słowian. Nie spodziewał się prędkiego natarcia i rozłożył się gnuśny książę wygodnym taborem na brzegu Bugu i spoglądał niespokojnie na szykujące się na przeciwnej stronie zastępy Bolesławowe. Był przy Jarosławie dawny piastun jego i wojewoda Budyj; ten zaczął sobie drwić z Bolesława mówiąc: już my ci tam przewiercimy włócznią ten twój tłusty brzuch! gdyż Bolesław był tak wielki i ciężki, że ledwie mógł na koń wsiąść, ale był za to zmyślny i rzekł do drużyny swojej: Jeśli się nie pomścicie tej hańby, to ja sam zginę! To rzekłszy sam skoczył w rzekę, a za nim ruszyli jego wojownicy. Jarosław zaś nie mógł się uszykować do boju, został pobity od Bolesława i uciekł z czterema mężami do Nowogrodu. Poległo niezmierne mnóstwo uciekających.

Rozpędziwszy jak wiatr tumany kurzu przed swem obliczem" zbrojne tłumy Jarosława, torował sobie Bolesław z łatwością dalszą drogę do Kijowa. Gonił przed sobą rozpierzchłych na wszystkie strony i błąkających się nieprzyjaciół, a po drodze od mieszkańców kraju z wielkiem poszanowaniem i podarunkami wszędzie był przyjmowany. Stanął wreszcie zwycięzca pod Kijowem. Słynął wówczas Kijów jako najkosztowniejszy klejnot i miał zajmować siedm mil obwodu, 400 cerkwi, ośm rynków, ogromną liczbę mieszkańców i niewysłowioną moc skarbów. Kijów potężnie obwarowany nie chciał się z razu poddać i dopiero 14. sierpnia 1018 otworzyli Kijowianie bramy. Naprzeciw wkraczającym wyszedł arcybiskup miasta i przyjmował ich niosąc przed sobą relikwie świętych, oraz inne przybory kościelne; tłumy ludu witały ich okrzykami. Przy wjeździe w „złote wrota" ciął rozradowany Bolesław mieczem w bramę. Od silnego uderzenia wyszczerbił się ów miecz, i zasłynął odtąd pod nazwą Szczerbca i przypasywany bywał do boku podczas koronacyi wszystkim następcom Bolesławowym.

Wszystkie owe niewysłowione skarby i cała rodzina Jarosława dostały się królowi polskiemu. Część tych skarbów rozsypał on zaraz pomiędzy swych gości i sprzymierzyńców, odprawił Węgrów i Pieczyngów do domu, a swoich Polaków porozsadzał po grodach i począł się tak rządzić w Kijowie, jakby w swojej własnej stolicy. Tymczasem liczne poselstwa rozbiegały się na wszystkie strony i roznosiły sławę Bolesława. Sam arcybiskup kijowski pojechał do Nowogrodu, żądając od Jarosława zwrotu córki Bolesławowej w zamian za żonę i siostry jego.

Po dziesięciu miesiącach pobytu w Kijowie, zabrał się Chrobry w jedynastym z powrotem w ojczyste strony, i zostawił w Kijowszczyźnie załogi polskie. Resztki skarbów, siostry Jarosławowe, wielu bojarów i mnogość narodu uprowadził ze sobą. Jarosław zebrał liczne wojsko i napadł na powracającego u przeprawy przez Bug. Jakkolwiek nieprzygotowany i uszczuplony na siłach zagrzał Bolesław odwagę swoich przypomnieniem tylu zwycięztw dawniejszych, natarł na Jarosława i rozgromił go ze szczętem. Nieprzeliczona moc trupów pokryła pobojowisko; Bug zarumienił się krwią. Była to ostatnia sprawa wojenna, ostatnie zwycięztwo wiekiego króla. Leciwy bohatyr, zwycięzca w tylu bitwach, postrach Niemców, a chluba Polski, poświęcił ostatnie chwile swego życia krwawo zapracowanemu spoczynkowi i sprawom domowym.

Koronacya. Śmierć.

Szczupłą dziedzinę ojcowską powiększył Chrobry syn w trójnasób.

Cała jednak kraina nietkniętą była w większej części ręką ludzką. Niezchodzone puszcze porastały ogromne obszary; odwieczne lasy, grząskie trzęsawiska, bezdrożne rozłogi, dopomagały Bolesłaowi do owych walnych zwycięztw nad Niemcami. Pomimo lesistości słynęła Polska wówczas już jako „ziemia zasobna w złoto i srebro, w której powietrze zdrowe, rola żyzna, bór miodopłynny, woda rybna, wojacy bitni, rolnicy pracowici, konie trwałe, woły ornite, krowy mleczne, owce wełniste.“ W cieniu borów pracował nieustannie siekierą kmieć. Na trzebieżach powstawały nowe osady, na szczytach gór i pa-

kach wznosiły się kościoły i klasztory; obronne grody, częściej drewniane niż murowane, sadowiły się wśród niedostępnych bagnisk, oblewały wodami. Tu owdzie spotykano już nawet miasta nieźle zabudowane, otoczone winnicami i ogrodami, „a dziwnie między sobą podobne, tak co do rozciągłości, jako i wejrzenia.“

Zastawiano w stolicy Bolesławowej codziennie czterdzieści większych i tyleż mniejszych stołów, przy których ucztowała hucznie nieprzeliczona ćma rycerstwa tak polskiego, jakoteż gości i towarzyszów różnych narodów i języków. Doznawali szczodrobliwości króla nietylko ci, którzy nieustannie przy jego bawili boku; owszem ktokolwiek tylko się doń zbliżył, odchodził obdarzony szatami. Nadto „po osobnych grodach i miastach wysadzani byli namiestnicy, których obowiązkiem było też grody i miasta biesiadami raczyć i królewskimi obdzielać darami.“ W dnie świąteczne bowiem wyprawiał król gody wszystkim wiernym, wystawiał kilkaset beczek miodu i kwasu, kazał rozwozić po miastach na przelicznych wozach chleb, mięsiwo, ryby, jarzyny, owoce i napoje i zwoływać lud ubogi, żeby się raczył i weselił. Po każdej biesiadzie rozrzucano jeszcze kilkaset grzywien pomiędzy ubóstwo.

Przy troskliwości o krzewienie wiary św., nie zapomniał Bolesław o sługach bożych i świątyniach pańskich. Szły częste poselstwa do Rzymu z prośbą do papieża o nadesłanie duchownych; przybywali też liczni księża i mnisi z Włoch do Polski, a Bolesław osadzał ich po klasztorach i biskupstwach. Budowały się też mnogie kościoły i klasztory kosztem pobożnego króla, zakładały się stolice biskupie.

Zeszedł on ze świata dnia 17. czerwca 1025 r. i po odprawionem nad jego zwłokami uroczystem nabożeństwie w języku łacińskim, greckim i słowiańskim, pogrzebany został w katedrze poznańskiej. Całego roku onego nikt w Polsce uczty publicznej nie wyprawił i świątecznych szat nie przywdziewał; nigdzie pląsu, nigdzie grania w gospodzie nie usłyszałeś; nigdzie śpiewka dziewczęca, nigdzie nuta wesoła po drodze nie zabrzmiała. I tak wszyscy przez rok cały tę powszechną zachowywali żałobę.

Ten co najpierwszy ujrzał światło wiary
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,
Syt lat i chwały, już Mieczysław stary
Legł w Piastów grobie.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, alić Czech zdradliwy
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy
W głuche pustynie.

Jak lew zraniony skrwawioną źrenicę
Tocząc rzuca się na zwierzę zuchwałe,
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę
I państwo całe.

W dzielnym zawodzie chciwy dalszej sławy,
Kiedy ukarał tego co przewinił,
Misnią, Luzatów i dzielne Morawy,
Swemi uczynił.

Wtenczas Jarosław Ruś żyzną wydziera,
Już gnębi Kijów okrutna przewaga,
Wygnan Świętopełk, u nóg bohatera
Pomocy błaga.

Bolesław równie mężny jak wspaniały,
Zbiera rycerstwo i w szyki sprawuje,
Już się nad wojskiem wznosi orzeł biały,
Drogę wskazuje.

Pędzi pytając, gdzie nieprzyjaciele?
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.

Szabla Polaków tylekroć doznana
Na hardych karkach poważnie ciężyła,
Poległy krocie, rzeka krwią wezbrana
Brzegi zbroczyła.

Już obległ Kijów, już baszty szerokie
Tłucze taranem, z kusz opoki ciska,
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.

Wchodzi bohater w rozstąpione mury,
Wśród radośnego w około żołnierza,
A miecz zwycięski podnosząc do góry
W bramę uderza.

Na pamięć, gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec, odnosili łupy,
Bije na Dnieprze i Ossie i w Sali
Żelazne słupy.

Spoczął, a sławny dzieły tak świetnemi,
Przyjmując w Gnieźnie Ottona cesarza,
Dziwi przepychem i skarby drogiemi
Hojnie obdarza.

Był to król dobry, w boju tylko srogi,
Był sprawiedliwy i karał swywole,
Pod nim bespiecznie i kmiotek ubogi
Orał swe pole.

Nie dziw, że kiedy poległ w ojców grobie,
Zdziaławszy tyle dla szczęścia i chwały,
Nieutulony i w ciężkiej żałobie
Płakał lud cały.

—∞—

Rozmowa przed karczmą.

W dzień świąteczny po nabożeństwie i obrządzeniu się w domu, a szczególniej też po pracy całotygodniowej, zabawa nie wadzi, a nawet poczciwie prowadzona jest konieczną i godną pochwały. Ludek w Gniazdowie do roboty się nie lenił, w powszednie dnie pracował, że aż koszula przywierała, a w święta młodzież hulała po skrzypkach do upadłego, gdy starsi gwarzyli o domowych sprawach.

W taki to dzień, zabawie oddany, w dzień piękny jesienny, w karczmie rozlegało się granie i tupot taneczników, a przed karczmą na klockach i ławie, siedziało coś z dziesięciu gospodarzy i rozgadywało się o różnych różnościach.

Wtem z jednej z chałup po za błoniem wiejskiem leżących, pokazały się dwa konie, a za niemi gospodarz i właściciel, pędzący je do wody w strugę, co środkiem błonia płynęła. — Ale szkapiny chude, mizerne, widać, że więcej myślały o jadle jak o napoju, bo raz po raz przystawały dla poskubania trawy, i gdy jednego ów gospodarz pięścią stuknął i popędził troszkę, to drugi łeb schylił za trawą i zatrzymał się, co mu widać nie pilno było do wody. Pięść więc znów szła do drugiego, i tak naprzemian, że w tem nawet wiele było śmieszności, bo tak utykać za szkapami, to mozoł nie lada. To też ów gospodarz aż zginał się, i widać, że go pięście nawet zabolały, bo zdjął kapelusz, odpasał pas i pasem jak biczem straszył niebożęta.

— To się Szczepan dopiero spracuje, — odezwał się Jasiek, wielki śmieszek i żartownik, — i cepem się więcej nie namorduje, jak on ze swemi cugowcami. Pewno ich tak rychtuje na wesele dla swojej Salusi, żeby się nauczyły minowania łbem do ziemi. — Gromada się rozśmiała, a jeden starszy latami Ambroży rzekł ze smutkiem:

— Moi ludzie, wam śmiech, ale powiem, że takie katowanie zwierzęcia, jak Szczepan ze swojemi szkapinami dokazuje, to grzech i obraza Boska.

Wczoraj spotkałem go, jak wracał z wozem z lasu. Co to on się tych biednych szkapin nabił, co namordował, co na-

przeklinał, to biedne zwierzęta aż stękały. Bo to biedactwo głodne, chude, boki pozapadane, żebrzyska porachowałby o staje drogi, poobcierane, zbite, poranione, niech Bóg broni. A co much na nich, bąków różnych, to aż skóra cierpła na człowieku. A tu fura taka wielka, tak drzewem wyładowana, że po równinie to jeszcze fracha, ale pod górę, to ani sposób, żeby mogły wyjść z takim ciężarem. Ja jadę naprzeciw niego, a on bije, morduje po łbie, po szyi, po brzuchu; szkapiny się kręcą z bolu, aż drżą całe, szarpią się, wytężają do ostatniego, oczy wyłażą na wierzch, że aż prrykro spojrzeć, co widać w nich jakby prośbę o zmiłowanie, jakby łzy w oczach na taką nad sobą niewyrozumiałość. Ale Szczepan nic na to nie zważał, od bicia zerwał bat, złamał biczysko, potem chwycił w obie ręce ogromne polano, i jak zaczął nim okładać boki, to tylko kości chropotały jak skorupy w garnku, i biedne bydlątka przypadały do ziemi, pokładły łby na drodze, jakby chciały rzeknąć: „Zabij nas, tylko prędko, tylko nas nie katuj!“ i tak leżały jak nieżywe. A przecieć to także stworzenie Boskie, a takie poczciwe, rozumne, takie przywiązane do domu, do gospodarstwa nawet do człowieka, co koło niego chodzi z pilnością. Przytem pracuje ciężko, za pracę nic nie wymaga, tylko opieki i karmu, a daje tyle z siebie korzyści.

— Wszystko to prawda, co mówicie, odezwał się na to Izydor, ale równie co człek, to człek, a co bydlę, to bydlę. Bo cóż z bydlęciem? ni gadki żadnej ni rozmowy, ni..

— Albo to prawda — przerwał Józef, ów wielki śmieszek — wasz kary na ten przykład, to nigdy nie wlezie w owies na waszym połanku, tylko albo w mój albo w czyj inny. To zkądżeby wiedział, czyj który połanek, gdybyście mu tego nie powiedzieli? A przecież jakem go raz uchwycił i zacząłem smarować batem, to mi rzekł tylko pod wielkim sekretem: „mój Józefie, mnie dajcie pokój, a weźcie się lepiej do mego gospodarza Izydora, bo on zawsze nie daje mi obroku, tylko puszcza luzem i rzecze: idź karoszku w jarzyny, to chwycisz tu troszkę, tam troszkę, i pożywisz się uczciwie i jużcić.“

— No i puściliście go? — zapytano gromadnie.

— Ba! jużcić puściłem — odrzekł Józef — ale mu rzekłem, żeby powiedział gospodarzowi swemu, że tak umyślnie bydlę w szkodę pędzić, to i nie po ludzku i niepoczciwie i nie po chrześciańsku.

— Jakże Józefie, powiedział wam?

Że Józef wszystko to mówił jakby na prawdę, więc cała ta mowa wiele miała w sobie śmieszności, i kiedy Izydor cały stał w ogniu od wstydu, ludziska tylko śmiech dusili w sobie. Wreszcie widząc Izydor, że coś gwałtem wypada na to odpowiedzieć, odchrząknął, machnął ręką przed sobą, niby dla odegnania pszczoły albo bąka, i potem rzekł, ale z wielką przerywką, jakby jąkała i do tego jadący po grudzie:

— Widzicie... te... moi ludzie... co ta rzekli Józef.. to miarkuję, że..

Na to jąkanie wszyscy buchnęli wielkim śmiechem, bo zmiarkowali dobrze, co znaczy, a Izydor zwiesił głowę ku ziemi i patyczkiem kreślił różne znaki po piasku.

— Moi ludzie — odezwał się Ambroży kiedy w śmianiu gromada się uspokoiła — uciecha uciechą, a prawda prawdą, że niektorzy gospodarze tak się z końmi obchodzą, że gorzej nigdzie nie zobaczy. A jednak warte one lepszej pamięci. Kiedy we dworze służyłem za młodu za fornala, miałem cztery konie, wszystko gniade jak jeden. Robiło się niemi, bo robiło, ale za to tak o nich pamiętałem, że zawsze ślicznie jak spławy wyglądały. Co dzień je zgrzebłem oczyściłem, nakarmiłem, napoiłem, w robocie nie przeciążyłem, nie zgoniłem, nie zbiłem, to też moje szkapy tak mnie znały, jakby sobie równego, jakby rozumiały mowe ludzką jak człowiek. Bywało, mam zaprzegać do wozu, to tylkom się pokazał w stajni i rzekłem: „hej! koniczki do roboty!“ to moje konie zawsze zarżały do mnie i potem po jednemu, jeden za drugim szły za mną jak psiaki bez żadnego prowadzenia. Potem same, czy do wozu, czy do brony szykowały się tak, jak z sobą chodziły, a jak wieczór powróciłem, to moje szkapska stanęły w stajni na swoich miejscach, ale zadami do żłobów, a łbami na stajnię, żeby łacniej było zaprzęgi z nich pozdejmować, i stały tak choćby nawet niewiem jak długo. Jeden z nich lejcowy, to strasznie był zuch-

wały; jak tylko obcy koło niego przechodził, to stulił uszy, ślepia mu się zaiskrzyły jak węgle i zaraz łabas zębami albo kopytami, czy zadniemi czy przedniemi, jak mu było dogodniej. Mnie jednak nigdy nic złego nie zrobił, zawsze poglądał z wesołością, strzygł uszami, kiedy się do niego odezwałem lub do kogo innego, choćby nie w stajni, to aby tylko mnie dosłyszał, zawsze zarżał radośnie, a ja go głaskałem, klepałem, albo szczotką gładziłem, to mnie wtedy delikatnie swemi wargami szczypał po ramieniu, po plecach, czasem po twarzy albo po rękach. To potem wadziliśmy się z sobą, ja do niego ze szczotką jakby do uderzenia, a on mnie łap za koszulę albo za kamizelkę, i ja go za ucho albo za grzywę lub ogon pociągnąłem, to on podniósł się na przodku i zaczął przebierać przedniemi nogami, jakby mnie chciał pod siebie zagarnąć. Jakem go klepnął po brzuchu albo krzyżu, to on klepnął mię nogą, ale tak delikatnie, że i malutkie dziecko tegoby nie czuło. Po takiem wadzeniu, jak odszedłem od niego, to tak się ciągnął od żłobu, tak się za mną oglądał, tak rżał żałośnie, że zawsze jeszcze raz musiałem się wrócić, poklepać, pogłaskać, i dopiero wtenczas chwycił się obroku albo siana

Raz jakoś na weselu siostry zabałamuciłem się i zamiast położyć się spać pod żłób, to położyłem się między konie i tak przez całą noc przespałem, i żaden mnie ani nastąpił, ani potrącił, chociaż w poprzek nich leżałem, że wszyscy temu nie mogli się wydziwić. — Raz także zachorowałem, położyłem się na sianie w stajni, a że pilna była z siewami robota, więc innego parobka dali do moich koni. Markotno mi bardzo było, że moje szkapska pójdą w cudze ręce, ale cóż było robić, kiedy robota była pilna? To wtedy, moi ludzie, tego dnia gniadosze cuda wyprawiały. Wyjść ze stajni nie chciały, ociągały się, opierały, a jak koło mnie przechodziły, to każdy strzygł uszami, nachylił ku mnie łba, powąchał, zachrapał, i jakby ze strachu wybiegał ze stajni. Potem przy zaprzęganiu motały się, plątały; lejcowe stanęły u dyszla, dyszlowe w lejcu, i potem u roboty, jak tylko upatrzyły czas po temu, uciekały z pola, stanęły pod samą stajnią i zarżały, jakby mi chciały powiedzieć, że tak zgrabnie potrafiły się z roboty wykręcić.

A kiedy zdziwiony zapytałem się ze stajni: Wojtku! czy to już południe? bo myślałem, że już wrócił z pola, to wszystkie cztery na raz jeden zarżały, jakby z bicza trzasł, potem obróciły łby do stajni i tak stały, aż się zwlókłem do nich. Przy witaniu się z niemi aż zapłakałem; i jakże tu nie powiedzieć, że bydlęta mają i poczciwość i rozum w sobie?

(Dokończenie nastąpi).

Bartosz wypędza z karczmy w Niedzielę.

Dalej bracia do kościoła,
Już oddawna dzwonek woła,
Wy jakbyście nie słyszeli;
A toć przecię dzień niedzieli.

Hulatyka nie uchodzi,
Co się godzi, to się godzi.
Ale teraz bracia mili,
Na kazanie przedzwonili.

Dam ja Mośku ci naukę,
Wszystkie flaszki ci wytłukę,
Czy ty nie masz duszy w ciele,
Że nic nie dbasz na niedzielę?

Jak twój szabas, to świętujesz,
A w niedzielę to nas psujesz,
Powyganiaj wszystkich kijem,
Bo i duszę tu przepijem.

Hej kumowie do kościoła!
Już trzeci raz dzwonek woła,
O trzeba mieć przecie serce,
Nie utapiać go w kwaterce.

Bóg poczciwe dał wam życie,
A wy w karczmie przesiedzicie!
Oj nie na to życie wasze,
Niech tam kaci wezmą flaszę!

Do kościoła, do kościoła,
Nieustannie dzwonek woła:
Nieustąpię z tego progu,
Póki was nie wrócę Bogu.

Bartosz na to się urodził,
By od złego was odwodził,
Słuchajcież go bracia mili,
Otóż znowu przedzwonili.

Kret i jego pogrzeb.

Kret pospolity należy do zwierząt ssących, ciało ma grube, wałkowate, a oczy tak małe, iż je u zabitego zaledwo znaleść można. Pysk ma ryjowaty, nogi zdatne do kopania w ziemi — sierć ma długą, czarną, miękką jak aksamit; inne gatunki są białe, płowe lub pstrokate. Oczy jego wielkości ziarnka maku, obrosłe są w około sierścią; nogi jego przednie w kształcie łopatki krótkie, mocne i szerokie, służą mu do kopania w ziemi. Kret jest bardzo żarłoczny, ma węch dobry, słuch jeszcze lepszy; żyje glistami, liszkami chrząszczów, żabami, ptakami, rakami, które z tyłu do swej nory wciąga, wyżera nawet wnętrzności i mięso z drugich kretów, i zostawia tylko skórę. Skór jego używają na pokrycie szkatułek, pudełek i t. d. Nory swoje kopie bardzo zręcznie i szybko przedniemi nogami, a tylnemi uprząta poruszoną ziemię. W porach dżdżystych i z wiosną, trzyma się blisko powierzchni ziemi, bo i robaki wówczas idą w górę W czasie suchym trzyma się głębiej. Dlatego na wiosnę i w czasie słotnym najwięcej widać kretowisk. Na gruncie tęgim, gliniastym, więcej napotykamy kretowisk, niż na gruncie suchym i lekkim, gdzie kret grzebie proste nory. Jeśli wyrzucimy w pogodnym dniu nieżywego kreta na grzędę ogrodową lub na zagon w polu, w kilkanaście minut złatuje się mnótwo czarnych, ciemnozielonawych chrząszczyków. Włażą one naprzód pod brzuch jego i składają mnóstwo jaj, potem wciskają się w gęste jego futro i ostrzygają włosy, albo raczej golą je ostremi szczękami. Ci mali golarze uwijają się tak skwapliwie, jak gdyby wiedzieli, że

wkrótce nadciągną rabusie do tych zwłok, których puchowate okrycie przeznaczone jest na wyścielenie kolebki potomstwa pracujących. W kilka godzin nadlatują inne chrząszczyki, u których czare pokrywy skrzydeł ukraszone są dwiema pomarańczowemi prążkami. Są to grobarze. Ci nowi łupiezcy, pojawiający się po 3 lub 5 razem, zabierają się skrzętnie do zagrzebania trupa, ponieważ wiedzą, że za lada zwłoką, będą musieli dzielić się łupem z muchą mięsiarką. Obejrzawszy więc trupa, dla wymiarkowania, jak wielki ma być grób, badają grunt, aby się przekonać, czy odpowiada ich celowi Jeżeli grunt jest kamienisty, podłażą pod trupa i razem połączonemi siłami posuwają go dopóty, póki nie znajdą miejsca stosownego. Tam dopiero podnoszą trupa głowami i piersiami, rozgrzebują zarazem szybko ziemię nogami przedniemi tak, że wkrótce powstaje okopek dokola kreta. Ciało kreta zagłębia się zwolna w ziemię. Jeżeli się zdarzy jaka nieprzewidziana zawada, n. p. kamień lub korzeń, natenczas jeden grobarz rozpoznaje przeszkodę i wraca do współpracowników. Wtedy czynność podwojona usuwa wszelką zaporę.

Czasem zdradzano tych kopaczy, przywiązawszy kreta do palika w ziemię wbitego; atoli ci zmyślni grobarze postrzegłszy podstęp, wkr tce i palik podkopali i robotę swą wytrwale ukończyli. Gdy już dół jest dostatecznie głęboki na umieszczenie trupa, grobarze go przysypują cienką warstwą ziemi. Na ukończenie tej całej roboty, potrzebują 10 godzin; po upływie drugich 10 godzin, kret już na pół stopy (6 cali) głęboko w ziemi pogrzebion, a w 48 godzinach już prawie na półtory stopy gruba warstwa ziemi pokrywa zwłoki jego. I tu dopiero zaczynają się prawdziwe gody. Grobarki składają swe jaja w trupa, poczem oddalają się i umierają; grobarze po nich wkrótce schodzą także ze świata, albowiem Bóg przeznaczyi tym owadom, jak i wielu innym, że końcem ich życia jest ta chwila, w której rozmnożenie się swego rodzaju zapewniły. Ledwo znikli grobarze, a już pojawia się chrząszczyk inny, i pożywa owoce cudzej pracy. Chrząszczyk ten czarny, przybywa zawsze pojedynczo i zajada mięso, nietknąwszy skóry, I ten także składa swe jaja w trupie. Żarłoki te skrzętne.

pożerają także i trupy szczurów, myszy, ptaków, kotów, a nawet i małych piesków. Jednakże zdaje się, że krety najwięcej im przypadają do smaku, albowiem poszukują ich w najgłębszych norach. I to właśnie jest przyczyną, że nigdy nie można znaleść nieżywych kretów w ich kryjówkach podziemnych.

Jak chować cielęta?

W miesiącach listopadzie, grudniu i styczniu zwykle cielą się w naszych gospodarstwach krowy. To też nie od rzeczy będzie powiedzieć choć słów kilka o tem, jak wychowywać młode cielęta, by się dochować bydła silnego, zdrowego i do pracy przydatnego Każdy gospodarz wie najlepiej, ile warta dobra dójka albo wół roboczy i silny, a przecież choć o tem wiemy bardzo dobrze, mało łożymy starań, aby się takich krów i wołów dochować. Wszystko u nas dotychczas: jak Bóg da, jak się przytrafi. Urodzi się cielę, to u jednych zostawiają go po całych dniach przy krowie, że ssie bez miary, dostaje rozwolnienia i zamiast żeby rosło i wzmagało się, mizernieje i chudnieje, a nieraz i zdechnie; u drugich znowu, z wielkiego skąpstwa, ledwie cokolwiek dadzą ssać cielęciu, resztę doją i zabierają, czy to na użytek domowy, czy też na sprzedaż. W taki sposób choć w kraju naszym piękne mamy łąki i pastwiska, nie możemy się dochować bydła mlecznego i rosłego, jak n p. w Królestwie holenderskiem, albo w Szwajcaryi, gdzie ludzie umieją i lubią chodzić koło bydła. — „Chcącemu nic nie ma trudnego", powiada przysłowie; chciejmy tylko, a i my dochowamy się pięknego bydła.

Kiedy już krowa bliska ocielenia, należy ją postawić w osobnej, ile możności obszernej klatce, i dobrze pod nią naścielić słomy, aby się mogła położyć. Po ocieleniu krowa oblizuje cielę, w czem jej wcale nie trzeba przeszkadzać; a więc nie wiązać jej do żłobu. Potem cielę, jeśli jest dość silne, wstaje, szuka wymienia i zaczyna ssać, jeśli jest za słabe, by samo wstało, należy je podnieść i przysunąć do krowy, aby się nassać mogło. Pierwsze to mleko, które ciele odssie, koniecznie mu jest potrzebne. Znajduje się w tem mleku wiele soli,

a sól ta sprawia, że nieczystości znajdujące się w kiszkach cielęcia odchodzą. Kiedy się cielę dobrze nassie, przenosi go trzeba do osobnej zagrody i odtąd nie puszczać już wcale do matki. Zagrodę taką urządza się zwykle w jednym końcu stajni, daleko od drzwi, żeby nie było przeciągów. Dla jednego cielęcia wystarczy 50 stóp kwadratowych. Ogrodzenie nie powinno być wyższe nad $3^1/_2$ stopy; przy takiej wysokości nie trzeba będzie wchodzić do środka, aby wygodnie każdym razem podać cielęciu potrzebny mu napój i paszę. Podłogę najlepiej dać z desek; gdy to zaś być nie może, trzeba przynajmniej dobrze ścielić słomą, aby cielęciu nie było zimno, kiedy się położy.

Mówiłem wyżej, że cielęcia po wyssaniu siary (tak się zowie pierwsze krowie mleko po ocieleniu), nie dopuszcza się już więcej do ssania. Zamiast pozwolić mu ssać, karmi się go mlekiem krowim z miski. Tym sposobem cielę dostawać będzie zawsze tyle, ile mu dać uznamy za stosowne. Nie napije się raz za mało, a raz za wiele; nie będzie chorować z przessania, ani znowu nie zmizernieje — przeciwnie, będzie ono dobrze wyglądać i prędko róść. W pierwszym tygodniu po ocieleniu dostaje cielę na dzień 3 kwart mleka, a to rano kwartę, w południe kwartę i wieczór kwartę. W drugim tygodnin dostaje już 4 kwart, które także dają się trzy razy na dzień w równych porcyach. W trzecim tygodniu dostaje dziennie 6 kwart. W czwartym 6 kwart, a do tego pół funta mąki owsianej. Mąka ta gotuje się w wodzie, a ten zgotowany płyn klejowaty wlewa się do przestałej wody studziennej i taki napój daje się pić cielętom. Trzeba jednak uważać, żeby wody tej nie było za wiele, bo z tego mogłoby powstać rozwolnienie, które nadzwyczaj szkodliwe jest dla cieląt. W piątym tygodnin daje się na dzień 8 kwart mleka i pół funta mąki. W szóstym 10 kwart, a mąki tyle co w piątym. Oprócz tego można już w szóstym tygodniu zakładać za drabiny trochę suchego, a słodkiego i cienkiego siana, aby cielęta bawiąc się i skubiąc siano, przyzwyczajały się pomalu do suchej paszy. W siódmym tygodniu dostaje cielę już mniej mleka, bo tylko 8 kwart na dzień, za to cały funt mąki owsianej. W ósmym tygodniu daje się

dziennie 6 kwart mleka, funt mąki owsianej, a wreszcie funt owsa, aby się cielę co raz więcej przyzwyczajało do właściwej paszy. W dziewiątym już tylko 4 kwart mleka, mąki owsianej pół funta, za to owsa półtora funta. Wreszcie w dziesiątym tygodniu dziennie porcya mleka zmniejsza się na dwie kwarty, mąki owsianej i owsa jak w dziewiątym, a prócz tego dostateczną ilość siana, które cielęta już dobrze jedzą w tym czasie. W jedynastym tygodniu zaprzestaje się zupełnie dawanie mleka; rozumie się jednak samo perzez się, że skoro tylko zacznie się zmniejszać porcya mleka, należy cielętom dawać wody, aby nie cierpiały pragnienia. Woda nie powinna być nadto zimna, najlepiej dawać wodę przestałą. Nadzwyczaj także jest szkodliwem dla cieląt, jeśli w wodzie pływają kawałki lodu. Nieraz przez takie nieuważne pojenie wodą z lodem najpiękniejsze cielęta zdychają. Skoro się przestanie dawać mleko, dostają cielęta już tylko samą suchą paszę, a to dwa do trzech funtów siana i dwie kwart owsa; dobrze jest także dawać im łuskę z nasienia lnianego, a jeśli kto ma, to i marchwi drobno krajanej po kilka funtów na dzień. Marchew ma wiele soku w sobie, i jest słodką, zastępuje więc w części mleko; cielęta bardzo pokarm ten lubią i pożerają go chciwie. Ilość siana trzeba pomału powiększać, zaś owsa daje się zawsze dwie kwart na dzień i przy tem trzeba koniecznie zostać, co najmniej, do dziewiątego miesiąca. (Dok. nast.)

Złote ziarna.

Rycerz nie ginie jak pod kosą ziele:
Nim legnie, we krwi dzielne skąpie ramię;
Gdzie kroki zwróci, drżą nieprzyjaciele,
Hufce ich razy śmiertelnemi łamie.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Wydano dnia 20. Lutego 1872.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.